Można być człowiekiem wykształconym, bogatym, zadowolonym z siebie... a mimo wszystko pozostawać idiotą. Nie, nie chodzi o głupca. Idiota dla Greków nie musiał być głupi. Był natomiast nieużyteczny. A będąc nieużytecznym nie zasługiwał na miano obywatela. Ba, nie zasługiwał także na miano człowieka, ponieważ w Grecji prawdziwym człowiekiem był tylko obywatel – „zwierzę polityczne", jak zdefiniował go Arystoteles.

Idiota może mieć, i najczęściej ma, poglądy polityczne. Potrafi je zaprezentować, a nawet wykrzyczeć. Ale nie potrafi uzasadnić. Nie umie przetłumaczyć ich na język codzienności; nie rozumie, jakie mają zastosowanie, do czego prowadzą, jakie są ich ograniczenia. Takie kompetencje posiada wyłącznie obywatel. Ten nie tyle posiada poglądy, co raczej ma zdolność **myślenia politycznego** i dostrzega, iż każde jego działanie jest w istocie wymagającym przemyślenia politycznym wyborem. Różnica jest analogiczna do różnicy między powieszeniem na ścianie zakupionej reprodukcji, a samodzielnym namalowaniem obrazu. Tylko w drugim przypadku mamy prawo mienić się artystą. I tylko od artysty inni nauczyć się mogą trudnej sztuki malarskiej. Kolekcjoner obrazów jest pod tym względem tak nieużyteczny, jak nieużyteczny jest dla swego państwa idiota.

Da się przejść przez życie będąc idiotą. Jednak prawdziwie godne szacunku jest dopiero życie obywatela. Nie wypada przed nim uciekać. W tej książce przekonuję, iż w towarzystwie życzliwych starożytnych przyjaciół doskonalić swe myślenie polityczne wcale nie jest trudno. Warto dać tę szansę sobie... i nam wszystkim. Obywateli potrzebujemy teraz bardziej niż kiedykolwiek. Idiotów? Tych zawsze mieliśmy pod dostatkiem.

ISBN 978-83-64506-51-2

IWONA BARWICKA-TYLEK OBYWATEL – NIE IDIOTA

OBYWATEL – NIE IDIOTA

MYŚLENIE POLITYCZNE DLA POCZĄTKUJĄCYCH

IWONA BARWICKA-TYLEK

WYDAWNICTWO JAK

Iwona Barwicka-Tylek

OBYWATEL – NIE IDIOTA

MYŚLENIE POLITYCZNE DLA POCZĄTKUJĄCYCH

Demokracja po raz pierwszy

Kwestie ustrojowe były w starożytnej Grecji wyjątkowo istotne. Wiemy już dlaczego: organizacja i uporządkowanie obywateli w małej *polis*, tak by udało im się trzymać w górze ochronną tarczę, nastręczać musiały wiele trudności. Jak sprawić, by potraktowali oni swoją funkcję poważnie i odpowiedzialnie? Zwłaszcza ci najniższej kondycji zdawali się być tu problemem: nie najmądrzejsi (a więc niesamodzielni), nie bogaci (pewnie zazdrośni wobec tych, co posiadają), a przecież najliczniejsi – czyli tyleż groźni, co i może najbardziej potrzebni. Na jakich zasadach włączyć ich do obywatelskiej gry?

Najdalej idącą ofertę złożyli w ręce ludu (gr. *demos*) ateńscy demokraci z V w. p.n.e. Pomysł był prosty. Skoro i tak musimy postawić na uczestnictwo polityczne wszystkich obywateli, to czemu nie pójść krok dalej, pozwalając im dodatkowo decydować o właściwych sposobach realizacji potrzeb państwa. Niech lud rządzi, a nie tylko aktywnie wykonuje podejmowane przez kogoś innego decyzje. Niech nastanie demokracja.

Mała uwaga. Nie zamierzam tutaj opisywać szczegółowo „prawdziwego" (historycznego) funkcjonowania ateńskiej demokracji. To, co będzie nas interesować, to oczekiwania pod jej adresem i uzasadnienia wyższości tego ustroju nad innymi, ponieważ właśnie one dostarczają argumentów, które i dzisiaj służyć mogą do obrony lub krytyki demokratycznych ideałów.

Szczerze mówiąc, nie mamy zbyt wiele źródeł, które można w tym celu wykorzystać. Wśród zachowanych opinii starożytnych dominują zdecydowanie głosy krytyczne wobec ustroju demokratycznego, formułowane przez takie sławy jak Platon czy Arystoteles. Co więcej, przekonanie, że fenomen demokratycznych Aten zasługuje na wyróżnienie i docenienie, pojawiło się stosunkowo niedawno. Przyjęło się ono dopiero w XIX stuleciu, co oczywiście nie jest przypadkiem – właśnie wtedy w Europie zaczęto coraz głośniej mówić o demokratyzacji społeczeństw. Wcześniej zdecydowanie większym uznaniem cieszyła się Sparta. Sparta, czyli *polis* przypominająca karny i zdyscyplinowany obóz wojskowy.

Na szczęście dysponujemy krótką mową Peryklesa[9] – najlepiej znanego demokraty – pozwalającą zrekonstruować najważniejsze zalety ustroju demokratycznego, tak jak postrzegali go w V w. p.n.e. dumni ze swej *polis* Ateńczycy.

Przemawiając ku czci wojowników poległych w pierwszym roku wojny peloponeskiej, Perykles mówił głównie o specyfice ustroju Aten:

> Nazywa się ten ustrój demokracją, ponieważ opiera się na większości obywateli, a nie na mniejszości. W sporach prywatnych każdy obywatel jest równy

[9] Przynajmniej taką mamy nadzieję, że to mowa Peryklesa. Przytacza ją Tukidydes w swojej *Wojnie peloponeskiej*, a nie da się ukryć, że ówcześni historycy z lubością wkładali różnorodne mowy w usta swych bohaterów. Były one w wielu wypadkach nie relacjami historycznymi, ale tworami wyobraźni samych historyków. Być może więc, słuchając Peryklesa, słuchamy też Tukidydesa (skądinąd jego przeciwnika politycznego). Jaki wniosek? Dla pesymisty – wszyscy kłamią i nikomu nie można wierzyć. Dla optymisty – jakże świetnie się składa, że historia myśli politycznej nie jest odtwórczym ustalaniem faktów, ale wolno i trzeba w niej korzystać z wyobraźni i domysłów.

> w obliczu prawa; jeśli zaś chodzi o znaczenie, to jednostkę ceni się nie ze względu na jej przynależność do pewnej grupy, lecz ze względu na talent osobisty, jakim się wyróżnia; nikomu też, kto jest zdolny służyć ojczyźnie, ubóstwo albo nieznane pochodzenie nie przeszkadza w osiągnięciu zaszczytów. [...] W naszym życiu państwowym kierujemy się zasadą wolności. W życiu prywatnym nie wglądamy z podejrzliwą ciekawością w zachowanie się naszych współobywateli, nie odnosimy się z niechęcią do sąsiada, jeśli się zajmuje tym, co mu sprawia przyjemność, i nie rzucamy w jego stronę owych pogardliwych spojrzeń, które wprawdzie nie wyrządzają szkody, ale ranią. Kierując się wyrozumiałością w życiu prywatnym, szanujemy prawa w życiu publicznym; jesteśmy posłuszni każdoczesnej władzy i prawom, zwłaszcza tym niepisanym, które bronią pokrzywdzonych i których przekroczenie przynosi powszechną hańbę[10].

Myślicielowi politycznemu rzucają się w tym fragmencie w oczy cztery słowa:

1. większość,
2. równość,
3. wolność

   oraz:
4. prawo, czy lepiej praworządność (rządy prawa).

Trzeba się im przyjrzeć bliżej, niekoniecznie we wskazanej przez Peryklesa kolejności. Perykles mógł sobie pozwolić na pewną dowolność opowiadania o wartościach demokratycznych, ponieważ mówił do osób, które dzieliły z nim ówczesne polityczne doświadczenie. Dla nas jednak kolejność jest wyjątkowo istotna. Doświadczenia nas dzielą, więc musimy przynajmniej odtworzyć porządek myślenia, które odpowiadało za specyfikę ateńskiej demokracji i jej wyjątkowy kształt. A to oznacza, że wypada nam zacząć od wolności, by następnie wyjaśnić równość i powiązane z nią zagadnienie większości, na koniec zaś powiedzieć kilka słów o praworządności.

---

[10] Tukidydes, dz. cyt., s. 70.

Gdybyśmy mieli opisywać współczesny demokratyczny ideał, użylibyśmy dokładnie tych samych czterech słów. Jak myślisz? Które z nich uznać należy za najważniejsze? Za samą istotę demokracji jako takiej? Trudno Ci wybrać? Przyznam się, że i ja miewam z tym ostatnio problemy. Całkiem niedawno postawiłabym wszystkie pieniądze na „równość". „Wolność" bowiem, podobnie jak „praworządność", zostały „skradzione" przez dominujący na Zachodzie nurt liberalizmu i o ich demokratycznych korzeniach zapomnieliśmy. Zapomnieliśmy do tego stopnia, że po II wojnie światowej – by do równości dodać wolność i praworządność, trzeba było stworzyć ideał „demokracji liberalnej". W ostatnich latach jednak da się zauważyć rosnące znużenie „liberalną" demokracją. Mam wrażenie, że wielu demokratów postanowiło w tej sytuacji wyeksponować słowo „większość". Powrót do „równości", zwłaszcza w naszym kraju, byłby za bardzo podejrzany, bo nazbyt świeże mamy wspomnienie eksponującej równość „demokracji ludowej". Według mnie jednak „większość" to zły wybór – sądzę, że po lekturze dalszych wywodów zrozumiesz, skąd się moje zastrzeżenia biorą.

W tym miejscu próba wyjaśnienia, z jakiego powodu i po co żonglowano w historii, i żongluje się do dzisiaj, wymienionymi czterema pojęciami, byłaby przedwczesna. Warto jednak zapamiętać pewną obserwację, o której prawdziwości jeszcze nie raz będziesz mógł się przekonać: używając tych samych słów, możemy mówić coś zupełnie innego. Liczy się bowiem zarówno założona przez nas (często nieświadomie) hierarchia ich ważności, kolejność, jak też nadawany pojęciom sens.

Wolność

Absolutnie kluczowe słowo tak w demokratycznych Atenach, jak i w dzisiejszym świecie. Czy jednak zgodzilibyśmy się z Ateńczykami co do właściwego sposobu rozumienia wolności? By to sprawdzić, spróbuj przywołać w pamięci podstawowe wiadomości, którymi dręczono Cię w szkole na historii – o agorze, zgromadzeniu ludowym, ateńskich urzędnikach, ostracyzmie. Już? To teraz...

... załóżmy, że siedzisz w domu na kanapie i zajmujesz się czymś wyjątkowo dla siebie interesującym... ot, choćby czytasz tę książkę. A tu nagle wpada do Twojego pokoju kolega współobywatel i mówi:

– Słuchaj! Spotykamy się za pół godziny na rynku. Będziemy debatować nad nową ustawą.

– A cóż tym razem? – pytasz z obywatelskiej grzeczności.

– To nie wiesz – pyta z niejaką dezaprobatą kolega – że nasz drogi Janeusz chce przepchnąć projekt, według którego dzieciom w podstawówkach będziemy obowiązkowo dodawać dwa buraki do każdego drugiego śniadania? Ponoć wyczytał w amerykańskim czasopiśmie, że to dobre dla zdrowia i ułatwia zapamiętywanie wzorów matematycznych. Przyjdziesz?

Sama jestem ciekawa, czy przyjdziesz. Zanim odpowiesz na jego pytanie, pomyśl, na czym w tej sytuacji polega Twoja wolność. Najprawdopodobniej bez wahania powiesz – i słusznie – że na możliwości wyboru. Możesz pójść na zgromadzenie ludowe, ale możesz także zostać w domu. A więc jaka będzie Twoja decyzja? Przyjdziesz?

Nie chciałabym kwestionować Twojego obywatelskiego zapału do uczestnictwa w debacie o burakach, lecz szczerze mówiąc, podejrzewam, że raczej nie pójdziesz. Bo Ci wolno. I potrafisz podać co najmniej kilka powodów, dla których opcja „zostaję w domu" wydaje się w tej sytuacji lepszym rozwiązaniem. Pierwsze z brzegu: mnie to nie dotyczy – nie mam dzieci w podstawówce; nie znam się na burakach – niech się wypowiadają eksperci; i tak mojego zdania nikt nie wysłucha – po co tracić czas. Brzmi znajomo? Oczywiście. Te same powody padają z ust obywateli, kiedy uzasadniają na przykład swój brak zainteresowania dla polityki czy rezygnację z udziału w wyborach. I żeby nie było nieporozumień: wymienione powody są powodami BARDZO DOBRYMI i PRZEKONUJĄCYMI. Ani myślę ich kwestionować!

Jednakże gdyby obywatele Aten rozumieli wolność w ten sposób, ich demokracja okazałaby się śmiechu warta. Rynek byłby pusty. No może nie całkiem pusty – przyszliby podyskutować o burakach ci, których prawo o burakach będzie dotyczyć, oraz ci, którzy się na burakach znają. Może jeszcze ci, dla których udział w debacie stanowi

powołanie lub hobby. Dla Peryklesa to jednak za mało. Na agorze pojawić się muszą wszyscy obywatele, bo inaczej nie ma co marzyć o wspólnym rządzeniu państwem. Dlatego Ateńczycy nie mieli wolności „przy sobie" w domu (tak jak my dzisiaj), znajdowała się ona na rynku. I by z niej skorzystać, należało się najpierw na rynku pojawić. Jak to dużo później określą mądrzy filozofowie, współczesna wolność mieści się głównie w tzw. sferze prywatnej, gdzie funkcjonujemy jako jednostki, podczas gdy starożytni rozumieli ją jako wykonywanie władzy w sferze publicznej[11].

Podstawą ateńskiej wolności była *isegoria* – równość głosu, czyli prawo każdego obywatela do przemawiania na zgromadzeniu ludowym. Właśnie debata miała być najważniejszym ogniwem procesu legislacyjnego, zmierzającego do ustanowienia prawa. W jej trakcie obywatel miał szansę poczuć siłę i wagę swego działania – jego wolność mogła więc zajaśnieć pełnym blaskiem... Ale właściwie po co?...

Wróćmy do przykładu z burakami. Powiedzmy, że udam się na agorę w pogoni za własną wolnością[12]. Nie mam dzieci, nie znam się na burakach... ba, uświadomiłam sobie właśnie, że nie lubię buraków i nawet w wigilię nie dam się namówić na zjedzenie barszczu. Mimo to, by odpowiedzieć na zew wolności, śmiało robię krok do przodu i zaczynam mówić:

– Drodzy współobywatele! – Robię krótką pauzę, by wywrzeć większe wrażenie, spoglądam spokojnie od lewej do prawej i wreszcie głosem godnym szekspirowskiej roli kontynuuję: – A ja to nawet buraków nie lubię.

---

[11] „W Atenach brakuje pojęcia jednostki, a nie pojęcia jej wolności", napisze słusznie Oswyn Murray; zob. O. Murray, *Człowiek i formy życia społecznego*, [w:] *Człowiek Grecji*, red. J.-P. Vernant, tłum. P. Bravo, Ł. Niesiołowski-Spanò, Warszawa 2000, s. 293.

[12] Oczywiście przykład to ahistoryczny i nieco przesadzony. W Grecji jako kobieta nie miałabym praw politycznych. Dla historycznej ścisłości muszę też dodać, że proces legislacyjny w Atenach wyglądał nieco inaczej, niż go przedstawiam. Propozycje praw spisywali prawodawcy – *nomothetai*, zgodnie z inicjatywą zgromadzenia. Natomiast każdy obywatel mógł się z prawem zapoznać, wnieść poprawki czy skrytykować daną propozycję. Każdy też mógł wystąpić publicznie na zgromadzeniu przeciwko prawu, które jego zdaniem uderzało w fundamenty demokratycznego porządku.

Mrużę nieco oczy, wodzę wolno wzrokiem po zebranych (tym razem od prawej do lewej), lekko kiwając głową. Stało się. Już. Przemówiłam, dowiodłam własnej wolności, mogę sobie pogratulować. Po mnie przemawiają inni. O, akurat mówi sąsiad. Ten to dopiero nie ma nic do powiedzenia: mamrocze pod nosem, że nawet nie wie, jak wyglądają buraki... Z trudem udaje mi się dotrwać do końca debaty. Wreszcie następuje głosowanie. Klamka zapada, większość podejmuje decyzję, a ja mogę wrócić do domu. Jaką decyzję? To właściwie nieistotne; przecież mnie ona nie dotyczy. Skorzystałam z wolności i tylko to się liczy. Ale czy naprawdę się liczy?

Można mieć uzasadnione wątpliwości. Moja wypowiedź, podobnie jak wypowiedź sąsiada, niewiele wniosła do debaty, a z pewnością ją przedłużyła. Nie mam także poczucia wielkiego wpływu na jej ostateczny wynik. Czy było warto? W tym samym czasie mogłabym przeczytać książkę, obejrzeć film lub pójść na kawę z koleżanką. Mojej nieobecności na rynku nikt by nie zauważył. Dlaczego nie pozostawić dyskusji politycznych tym, którzy znają się na danej materii? Będą one bardziej merytoryczne i spokojniejsze.

Mamy dzisiaj demokrację przedstawicielską, nie bezpośrednią jak w Atenach, ale uznając parlament za swego rodzaju agorę, łatwo przenieść rozważania na współczesną sytuację. Która część procesu legislacyjnego zdenerwowałaby nas najbardziej, gdybyśmy usiedli przed telewizorem i obejrzeli transmisję obrad sejmu? Prawdopodobnie dyskusja. Zmieniający się na mównicy posłowie, często wypowiadający się w sposób albo mało zrozumiały, albo zbyt kwiecisty. Równie często traktujący swe wystąpienia jako okazję do krytyki przeciwników politycznych i obrzucania się błotem. Kłócący się, przekrzykujący, a i tak w końcu głosujący zgodnie z przynależnością partyjną. I po co to wszystko? Niech projekty ustaw przygotowują eksperci, zaś „głos" posłów niech się ograniczy do krótkich podsumowań i podejmowania decyzji umocowanych w woli wyborców. Sprawniej, bardziej racjonalnie i taniej. Co z wolnością? Przeniesiemy ją do sfery prywatnej, gdzie pomoże osiągać prywatne cele. Mogę wybierać – styl życia, zainteresowania, zawód. Mogę na przykład zostać posłem, a swoją wolność realizować, decydując się na polityczną karierę. Żeby było

jasne: moją PRYWATNĄ karierę. W wielkich państwach taki proces zmiany rozumienia wolności, czyli przesunięcie jej ze sfery publicznej do prywatnej, wydaje się tyleż nieuchronny, co *summa summarum* korzystny tak dla nas, jak i dla państwa. Resztką wolności w sensie starożytnym będzie należący do każdego obywatela „głos" – ale nie w znaczeniu zachęty do uczestnictwa w politycznym namyśle nad prawem, lecz jako krzyżyk postawiony przy nazwisku danego kandydata na przedstawiciela. Tego rodzaju „głos" ma niewiele wspólnego z wypowiedzią, a więc też niewiele wspólnego z ateńskim postrzeganiem wolności. Perykles uznałby go raczej za wyraz równości, ta zaś nabierała znaczenia dopiero w kontekście tej pierwszej.

Czy aby nie przesadzam? A któż nam przeszkadza mówić? Przeciwnie, można odnieść wrażenie, że gadamy na okrągło! Włączam telewizor, a tam pan redaktor przepytuje na ulicy przypadkowych przechodniów. Co pan/pani sądzi? O tym i o tamtym. Mój rząd prowadzi nieustannie konsultacje społeczne, sondażownie różnego typu przeprowadzają ankiety, badają opinie itd. W internecie królują tweety, lajki i dyslajki, mniej lub bardziej sążniste komentarze. Tu jakaś demonstracja, tam protest, a za rogiem manifestacja. Sfera publiczna pełna jest słów. Nawet sprawy pierwotnie prywatne mogą nieoczekiwanie nabrać wielkiej publicznej wagi. Ateńczycy o takim roz-głosie mogli jedynie pomarzyć!

A jednak wszystko to mało. Wolność w Atenach niosła (a przynajmniej nieść miała) coś jeszcze. Coś, bez czego byłaby tylko marną błyskotką – ozdobą tyleż piękną, co bezużyteczną. Otóż zakładała ona **obowiązek słuchania**. Dlatego sama miała wiele wspólnego z równością, jako że odnosiła się od razu do pewnej postaci relacji interpersonalnych, a nie tylko działania jednostki, która dzięki wolności może robić to, na co ma ochotę[13]. *Isegoria* to złożenie dwóch słów: *isos*, czyli „równy", oraz *agorein*, czyli „mówić na zgromadzeniu". W świecie, w którym państwo sprowadzało się w pierwszej kolejności do związku między obywatelami, taki publiczny i wzajemny charakter

[13] Taka wolność była dla Ateńczyków równie ważna, ale funkcjonowała poza sferą publiczną, więc nie miała znaczenia politycznego. W naszych rozważaniach też nie poświęcimy jej szczególnej uwagi.

wolności musiał się wydawać naturalny. Relacja do swego zaistnienia wymaga dwóch podmiotów, jeśli więc wolność ma się także realizować w jej ramach, tam gdzie jeden mówi, drugi musi odebrać jego komunikat i nań zareagować. Starać się zrozumieć i rozważyć, nawet jeśli niekoniecznie się zgodzi na to, co usłyszał.

Dzisiaj rzadko mówimy. Lubimy za to krzyczeć. Nie tylko w polityce używamy coraz mocniejszego języka. Więcej, głośniej, wulgarniej. Czyżbyśmy aż tak się zmienili, jak twierdzą niektórzy – stali się gorsi, zdemoralizowani, głupsi? Świat zwyczajnie „schodzi na psy" (niech mi mój maltańczyk wybaczy)? No cóż, można to sobie i tak tłumaczyć, ale mnie podobne wyjaśnienia nie przekonują. Zbyt są proste i tym samym usprawiedliwiają intelektualne lenistwo, które uważam za największego wroga naszego gatunku, określanego, było nie było, mianem *homo sapiens*. Krzyczymy, prawda. Ale ten wielki wzrost agresji we wzajemnych relacjach wynika w dużej mierze z faktu, że w ten sposób chcemy do siebie dotrzeć w świecie, w którym inni nie mają już obowiązku nas słuchać. Desperackie to próby i podobnie jak w przypadku rodziców krzyczących na dziecko – czy też dzieci krzyczących na rodziców – kiepsko rokują. W efekcie wikłamy się wszyscy w błędne koło. Mówię, bo mam wolność wypowiedzi, ale nikt nie słucha. Krzyczę, by do słuchania zmusić, lecz ktoś inny na mój krzyk odpowiada tym samym, by przebić się ze swoją wolnością. Niekończąca się kakofonia.

Jeśli potraktować starożytną koncepcję demokracji poważnie, to o wartości wolności politycznej przekonywać ma nie sama wolność wypowiedzi, ale raczej uwaga słuchaczy. *Isegoria*, przypomnę, to nie sam „głos", ale równość głosu. No dobrze, jednak czy naprawdę jako obywatelka demokratycznego państwa powinnam się zmuszać do słuchania wszystkich? Nawet tych głupich, niewykształconych... niemających pojęcia o zaletach czy wadach buraków? Co za korzyść z wysłuchania sąsiada, który nawet nie wie, co to jest burak?!

Większa, niż mogłoby się wydawać. Pod warunkiem, że będę słuchać aktywnie. Pomyślę, przeanalizuję, wysnuję wnioski. Podczas słuchania sąsiada, który w debacie na temat karmienia uczniów burakami przyzna się do braku styczności z tym warzywem, być może zapali

mi się w głowie czerwona lampka. Inicjator wniosku, szacowny Janeusz, w płomiennej mowie dowodził dopiero co, że buraki są kluczowym elementem profilaktyki prozdrowotnej i kształcenia kompetencji matematycznych wśród dzieci i młodzieży, przytaczając liczby oraz wyniki najnowszych badań klinicznych. Widać, że się przygotował. Prawie mnie przekonał. Ale patrzę na sąsiada i tak sobie myślę... sąsiad chłop jak dąb, pracuje jako księgowy i z tego, co wiem, na brak klientów nie narzeka... a z burakami wyraźnie nie miał za wiele do czynienia. Cóż, ja też buraków nie lubię, i wziąwszy pod uwagę wyniki badań okresowych, jestem zupełnie zdrowa.

Czyżby Janeusz kłamał? Manipulował? Taki wniosek jest zbyt daleko idący. Może on mieć krystalicznie czyste intencje (tego nie wiem), ale i tak wystąpienie sąsiada ma swoją wagę, choć nie zawiera samo w sobie żadnej wiedzy zdolnej konkurować z wiedzą eksperta. Na czym zna się ekspert od wpływu buraków na zdrowie człowieka? Na burakach i ich właściwościach. A prawo dotyczące dystrybucji buraków w szkołach dotyczyć będzie zdecydowanie szerszego zestawu zagadnień. Przede wszystkim dotyczyć będzie w ostatecznym rozrachunku obywateli, bo choć mamy współcześnie wiele nauk gromadzących wiedzę o człowieku, to konkretne, poszczególne jednostki mają tendencję do zachowywania się niezgodnie z nią. Ot, taka nasza niepokorna natura. Buraki mogą być zdrowe, lecz ja z premedytacją krzywię się na ich widok.

Pisałam wyżej, że nie mam dzieci, więc propozycja karmienia uczniów burakami mnie nie dotyka. To nieprawda. Mam dwie córki. W szkole podstawowej przynosiły do domu darmowe mleko w kartoniku. Dobry pomysł, by w ten sposób państwo dbało o stan kości młodego pokolenia? Pomysł sam w sobie świetny. Wszyscy eksperci, lekarze i stomatolodzy będą prawdopodobnie „za". Podobnie jak hodowcy bydła i mleczarnie. Cieszą się dyrektorzy szkół, mogąc wykazać się uczestnictwem w ważnym dla zdrowia dzieci programie. Podobnie rząd czy samorząd, dowodzący w ten sposób swej troski o obywateli. Ucieszą się pewnie także i rodzice. Dzięki programowi mogą nieco zaoszczędzić, a co może ważniejsze – nie będą musieli „zmuszać" dzieci do picia mleka w domu, przez co być może odpadnie

im dosyć nieprzyjemne zajęcie. Nawet dzieci się cieszą! Wszyscy zainteresowani – a przynajmniej znacząca większość – mogą mieć dzięki przyjętemu rozwiązaniu doskonałe samopoczucie. No chyba że posłuchamy sprzątaczki... To ona widzi, że kartoniki z mlekiem najczęściej służą dzieciom do zabawy. W czasach szkolnych moich córek najlepszą zabawą było skakanie na kartonik, tak by mleko rozprysło się jak najdalej. Oczywiście były też dzieci, które nie bawiły się w ten sposób i realizowały zamierzenia programu. Moja starsza córka na przykład. Piła swoje mleko i przynosiła do domu kilka dodatkowych sztuk od koleżanek. Z tym że akurat w jej przypadku brak programu niczego by nie zmienił. Ona po prostu lubiła mleko i zawsze je piła w dużych ilościach. Tak więc program ani jej nie zaszkodził, ani nie pomógł.

Debata. Debata i jeszcze raz debata. Warunkiem jej powodzenia jest wolność słowa, ale i obowiązek słuchania. Nawet jeśli słuchanie jest niejednokrotnie ciężką i frustrującą pracą. Włożony wysiłek się opłaca. Jeśli na agorze ujawnią się wszelkie możliwe argumenty i nikt nie będzie mógł ich zignorować, to otworzymy sobie drogę do wypracowania stanowiska lepszego, bogatszego, bardziej racjonalnego. Przemyślimy to i owo, sprawdzimy wagę wszystkich argumentów, ich odporność na krytykę. Jednym słowem, będziemy mieć szansę stanowienia lepszego prawa. Brzmi przekonująco? Dla niektórych współczesnych obrońców różnych modeli demokracji uczestniczącej – jak najbardziej. Trzeba ich zdaniem zadbać, by obywatele odzyskali głos rozumiany jako mowa (ang. *voice*), a nie ograniczać się do dania im jedynie marnej i rzadkiej okazji wyboru tych, którzy będą mówić (ang. *vote*). Doskonaląc i demokratyzując przebieg debaty publicznej, będziemy mogli skupić się na merytorycznej wartości przedstawianych propozycji, a ujawniając wszelkie konkurencyjne interesy, łatwiej utrzymamy je w ryzach, skłaniając zaangażowane strony do kompromisów i ustępstw. Ateński przykład przemawia do wyobraźni, zwłaszcza że najnowsze zdobycze technologii pozwalają konstruować nową, internetową postać agory. Agory, której pojemność i otwartość na obywateli może być co do zasady nieograniczona i która nie zmusza do wysiłku związanego z opuszczeniem sfery prywatnej, bo sama przychodzi do naszych domów po włączeniu komputera.

W wielkiej swej naiwności moje serce jest po stronie powyższej (i wielu podobnych) argumentacji. Chciałabym wierzyć, że ponowne ożywienie aktywnego uczestnictwa w życiu politycznym dzięki wzmocnieniu wolności takiej, jaką znali Ateńczycy, polepszyłoby znacznie poziom naszych demokratycznych debat, a w konsekwencji poprawiło jakość efektów procesu legislacyjnego. I staram się w to wierzyć, jak tylko mogę. Jednakże mój rozum historyka wierzy w tego rodzaju zależności troszkę mniej. Sami Ateńczycy mieli poważne wątpliwości, czy istotnie demokratyczne procedury obowiązujące na zgromadzeniu ludowym gwarantują rzetelny namysł nad problemem i ułatwiają poszukiwanie trafnych rozwiązań. Wyrażali te wątpliwości głośno i wyraźnie właśnie na agorze[14].

W takim razie wróćmy do ostatniego rozwidlenia (celowo jego początek został wyżej pogrubiony) i zacznijmy jeszcze raz.

Debata. Debata i jeszcze raz debata. Warunkiem jej powodzenia jest wolność słowa, ale i obowiązek słuchania. Nawet jeśli takie słuchanie jest niejednokrotnie ciężką i frustrującą pracą. Włożony wysiłek się opłaca. Po pierwsze, zaangażowanie obywateli w wielostronne relacje mówienia i słuchania ma istotne walory edukacyjne. Jeśli wiem, że mojej perory będzie słuchał mój polityczny konkurent prezentujący inną opcję, będę musiała lepiej się przygotować do jej wygłoszenia. To się starożytnym udało. Jak podkreślają badacze, obywatele Aten mogliby nas zawstydzić poziomem wykształcenia, umiejętnościami czytania, pisania, liczenia, a według niektórych nawet ilorazem inteligencji[15]. Oczywiście wpłynęło na to szereg czynników, ale zaangażowanie w publiczne dyskusje było z pewnością jednym

[14] Bardziej dociekliwym polecam tu sięgnąć po *Wojnę peloponeską* Tukidydesa i poczytać relacje z przykładowych obrad, dotyczących zwłaszcza propozycji wymordowania Mityleńczyków, zgłoszonej przez Kleona, a krytykowanej przez broniącego między innymi honoru demokracji Diodotosa; zob. Tukidydes, dz. cyt., ks. III.

[15] Zwolennikiem takiej hipotezy był w XIX w. Francis Galton, a współcześnie są m.in. Gregory Cochran i Jerry Crabtree. Ten ostatni napisał nawet w jednym z numerów „Trends in Genetics": „*I would be willing to wager that if an average citizen from Athens of 1000 BC were to appear suddenly among us, he or she would be among the brightest and most intellectually alive of our colleagues and companions*" [tekst online: http://bmi205.stanford.edu/_media/crabtree-2.pdf, dostęp: 28.11.2016].

z ważniejszych, o czym świadczy także popularność i autorytet ówczesnych myślicieli i filozofów. W publicznych wykładach Teofrasta, który po Arystotelesie kierował jego szkołą, brało udział dwa tysiące słuchaczy![16] – jako nauczyciel akademicki mogę jedynie pozazdrościć. Tym dobitniej jednak ateński przykład każe zakwestionować miłe sercu przekonanie, że im ludzie mądrzejsi, tym ich dyskusje bardziej racjonalne i w konsekwencji prowadzące do lepszych rozwiązań. Bo trzeba tu powiedzieć wyraźnie, że jeśli nawet Ateńczycy byli istotnie mądrzejsi od nas, to jakoś mądrości tej nie udało się wprowadzić na stałe do państwowego krwiobiegu – demokracja ateńska pełna była konfliktów, sporów, korupcji, zawiści i podejrzeń. A skoro nie dali rady Ateńczycy, jakże mamy dać radę my, maluczcy?

Tu jednak daje o sobie znać druga cecha związana z demokratycznym postrzeganiem wolności, urzeczywistnianej w sferze politycznej. Jest nią znaczna fragmentaryzacja dyskusji i większa różnorodność sądów i opinii. Zaleta to czy wada? Narzekamy często, że gdzie jest dwóch Polaków, tam są trzy zdania (inne nacje twierdzą zresztą podobnie), więc pewnie wielu z nas skłaniałoby się w stronę drugiego wniosku – raczej wada. Jednakże to wniosek zbyt pochopny. W ustroju demokratycznym promowanie kryteriów jakościowych (czyli preferowanie „dobrych" – ważkich, mądrych, logicznych – argumentów) niekoniecznie jest dobrym pomysłem. Zwłaszcza na początku debaty lepsze może się okazać przyjęcie kryteriów ilościowych i zachęcanie każdego do ujawnienia swej, choćby najbardziej banalnej, opinii. Ma to, a przynajmniej może mieć, dwie zalety. W tym miejscu warto wskazać pierwszą z nich: zmniejszenie politycznego wpływu utrwalonych i naturalnych (ale często z punktu widzenia państwa szkodliwych) lojalności grupowych. Towarzysząca fragmentaryzacji różnorodność opinii zachęca każdego obywatela z osobna – a więc bez wynikającego z tożsamości grupowej filtra – do słuchania i rozważenia po swojemu wszelkich pojawiających się głosów. To zaś może pomóc ukierunkować debatę na poszukiwanie rozwiązań danego problemu wykraczających przynajmniej trochę poza partykularne interesy.

[16] Tak podaje Diogenes Laertios; zob. Diogenes Laertios, *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*, tłum. I. Krońska i in., Warszawa 2012, s. 275.

Nie chodzi o to, by obywatel po prostu wyrzekł się swoich poglądów i przyjął inne, lepsze, ale by zrozumiał, dlaczego pewne tezy i argumenty przedkłada nad inne; a przy tym sprawdził siłę własnych uzasadnień. Pełne odkrycie kart, jawność emocji, także negatywnych, konfliktów, sporów może przynajmniej częściowo je rozładuje, choćby pod wpływem zderzenia wielu różnych perspektyw. Dzisiaj mamy z tym ogromne problemy[17]. Aż przykro patrzeć, jak pewne fakty czy propozycje ustaw są krytykowane „z automatu" – tylko dlatego, że przedstawia je ktoś należący do nie naszej grupy: członek innej partii, ateista lub katolik (niepotrzebne skreślić), prawica lub lewica. Liderzy grup tak się boją o lojalność członków, że jak wiemy, potrafią wysyłać SMS-y z obowiązkowymi i jedynymi możliwymi poglądami – czyli więcej mówią do swoich, choć przecież oni powinni być już przekonani, niż do innych po to, by ich przekonać. Ale trudno się im dziwić, skoro i tak „inny" nie słucha. W tej sytuacji „swoich" należy bronić przed zbyt samodzielnym myśleniem, bo takowe zawsze jest zagrożeniem dla integralności grupy.

Wystarczy. Co nieco o ateńskiej wolności już wiemy i wiemy też, do czego prowadzić miała jej praktyczna aplikacja. Obywatele powinni przybiec na rynek. Tam podyskutować, mówić i słuchać, pokłócić się, zasiać zamęt. A potem?...

Równość

... Potem każdy obywatel dostawał do ręki jeden głos i odbywało się głosowanie. Grecka *isonomia* (równość praw) polegała tutaj na równej wadze każdego głosu, który liczył się tak samo, bez względu na status obywatela i jego indywidualne kompetencje. Głosy liczono i przechodziła propozycja poparta przez większość. Ostatecznie więc demokracja wyrażała się w rządach większości. I dziś chętnie na tę większość

[17] We współczesnym języku nauk politycznych to, co opisuję, określa się mianem „deliberacji" – stanowi ona podstawę różnych modeli demokracji deliberatywnej.

Poszukiwacze prawdy

W swojej *Retoryce* Arystoteles uznaje poszukiwanie prawdy za wrodzoną cechę ludzkiej natury. Jak zauważa Witold Wróblewski, „tak mógł napisać tylko Grek", który „nie pozostawał jedynie biernym obserwatorem i odbiorcą cudzych myśli, podatny na oddziaływania innych, ale sam szukał i badał"[27]. Cóż za wspaniała cecha, którą warto byłoby w sobie odświeżyć.

Palma pierwszeństwa w poszukiwaniu prawdy o charakterze politycznym należy do Ateńczyka Sokratesa. Był on wytworem swoich czasów i swojej *polis* – gadatliwym obywatelem, nieszanującym żadnych ludzkich autorytetów, przywiązującym ogromną wagę do sztuki dyskusji i właściwej argumentacji. Przysparzał zmartwień żonie Ksantypie, która za przyczyną jego, lub też może raczej zazdrosnych uczniów, przeszła do historii jako kłótliwa jędza. Przez stulecia przypominano, jak to miała czelność pobiec na rynek za mężem i zerwać z niego płaszcz czy wylać na głowę wiadro pomyj. Dodawano, że w domu urządzała filozofowi istne piekło i nie stroniła od trunków. Zakochany w Sokratesie Alkibiades (biedny młodzieniec – jego nieudolne próby uwiedzenia mistrza cudnie portretuje Platon w *Uczcie*)

[27] W. Wróblewski, dz. cyt., s. 39.

pozwolił sobie nawet zauważyć, że Ksantypa to kobieta zupełnie nie do zniesienia. Na co zresztą małżonek Ksantypy odparł beztrosko: „Ja się przyzwyczaiłem, tak jak się można przyzwyczaić do ciągłego warkotu kołowrotka. A ty na przykład, czy dobrze znosisz gęganie gęsi?". Innym razem miał natomiast zażartować, że wybrał na żonę jędzę, tak jak dobrzy jeźdźcy wybierają narowiste konie – jeśli nad nimi potrafią zapanować, panują nad wszystkimi innymi[28].

Jako filozof uważam takie dowcipy za wyborne. Jako kobieta mniej – mogę sobie wyobrazić, że na widok mojego męża po raz kolejny wracającego z miasta bez pieniędzy na utrzymanie domu, za to w dobrym humorze i z wielką chęcią doskonalenia sztuki dyskusji w kłótni ze mną, zachowywałabym się podobnie do Ksantypy. Podejrzewam, że Ksantypa była kobietą z krwi i kości. Kto wie, może jej wkład w myśl filozoficzną jest większy, niż się nam wydaje – tyle że prowadząc gospodarstwo domowe, uważała filozofowanie za gadanie po próżnicy, więc nie zgłaszała pretensji do praw autorskich względem takiej czy innej idei[29].

Wystarczy tych feministycznych wycieczek – wróćmy do Sokratesa. Jego głównymi intelektualnymi adwersarzami byli sofiści. Innymi słowy, „mądrale" (gr. *sophia* to mądrość), którzy znaleźli sobie całkiem przyjemne zajęcie polegające na udzielaniu chętnym i bogatym lekcji mówienia. W ustroju, w którym dobra wymowa mogła obywatelowi zapewnić szacunek, popularność i zdobycie większości na zgromadzeniu ludowym, była to nauka wysoce pożądana. Za sofistami podążał więc wianuszek polityków, marzących o roli wybitnego demagoga, czyli osoby „prowadzącej lud" w czasie emocjonujących legislacyjnych debat.

Sofistom wiodło się nieźle, zwłaszcza że jak na nauczycieli przystało, oczekiwali za swą pracę zapłaty. Interes się kręcił, bo mało kto dostrzegał, że sofista – choć przyjemny i miły w obyciu – może być

[28] Diogenes Laertios, dz. cyt., s. 97.

[29] Niektórzy badacze twierdzą – i hipoteza to ciekawa – że prawdopodobne rozmowy ze starzejącą się już Ksantypą miały wpływ na młodego Arystotelesa. Kto wie... Jeśli czytelnik chciałby spojrzeć na Ksantypę – i filozofię – inaczej, polecam niewielką książeczkę Rogera Scrutona; zob. R. Scruton, *Dialogi ksantypiczne*, tłum. W. Nowicki, Kęty 2005.

istotą wyjątkowo denerwującą. A jeszcze bardziej denerwujący potrafi być wyszkolony przez sofistę polityk. O ile bowiem sofista zna powody swego bycia denerwującym, o tyle demagog w ogóle się nad nimi nie zastanawia. Mam tu na myśli dzielone przez sofistów przekonanie, że nieusuwalnym mankamentem ludzkiej kondycji jest brak dostępu do prawdy obiektywnej. Polityk nie dostrzega wpisanego w tę tezę pesymizmu. I tak sceptycyzm wobec prawdy, który powinien skłaniać do ostrożności w słowach, traktuje raczej jako zachętę do ich radosnej nadprodukcji. Analogiczna jak w przypadku sofisty i demagoga różnica występuje między rodzicem, który zakłopotany mówi: „Zepsuła się kuchenka, więc obiad musimy zjeść dzisiaj na mieście", a dzieckiem, które powtarza: „Zepsuła się kuchenka, więc obiad musimy zjeść dzisiaj na mieście!", zacierając ręce z radości, bo wie, że uda mu się zaciągnąć rodzinę do McDonalda.

Słowo „demagog" ma zabarwienie pejoratywne, ponieważ oznacza kogoś, kto manipuluje emocjami i wykorzystuje ignorancję słuchaczy do przeprowadzenia swego zamysłu. Coś tu jest na rzeczy, choć z drugiej strony bez demagogów nie ma demokracji, bo jak już ustaliliśmy, gdzie jest dwóch obywateli, tam są trzy zdania. W tej sytuacji niewdzięcznym ich zadaniem – nagradzanym prestiżem czy władzą – było i jest konstruowanie większości niezbędnej do demokratycznego rządzenia. I dziś te narzędzia muszą być dostosowane do jakości materiału, na którym przychodzi im pracować. Czyli jednym słowem, dostosowane do poziomu kultury politycznej obywateli. Jeśli chcemy do skrętu w prawo przekonać osła, to musimy postępować inaczej niż w przypadku próby przekonania myślącego człowieka. Osłu pokazujemy marchewkę lub straszymy lwem nadchodzącym z lewej strony, człowiekowi natomiast trzeba przedstawić argumenty poważniejsze – ale czy sprawdzi się w tej roli kiełbasa, czy też konieczny będzie racjonalny wykład powodów, dla których skręt w prawo jest niezbędny, zależy od cnotliwości i mądrości człowieka. Dlatego oskarżanie polityków o demagogię jest w demokracji co najmniej dwuznaczne. Po pierwsze, bez niej demokracja nie działa właściwie: albo nie potrafi podjąć żadnej decyzji, bo nikt nie dysponuje większością, albo też przestaje być demokracją, kiedy rządzącym nie zależy na przekonaniu

społeczeństwa do swych pomysłów. Po drugie, jeśli politykom „prowadzącym lud" wystarcza do budowy poparcia oszustwo i kłamstwo, nie najlepiej to świadczy o samych obywatelach – o nas. Można by tu ponarzekać bardziej, choćby na system edukacji, który zapomina coraz częściej, że u podstaw każdego przedmiotu i dziedziny wiedzy powinna leżeć umiejętność systematycznego myślenia, analizy argumentów, wyciągania logicznych wniosków, bez której podcinamy korzenie całej naszej, jakże przyjemnej, demokratycznej kultury. Nasuwa się wręcz niepokojący wniosek, że ideał demokratyczny byłby realizowany najlepiej, gdyby do jego realizacji przystępowali obywatele wychowani w duchu kultury elitarnej, arystokratycznej, czyli w warunkach mało demokratycznych... Ta myśl nasunęła się prawdopodobnie Isokratesowi, który nie tylko nie unikał sofistów, ale założył w Atenach pierwszą – słynną na całą Grecję i płatną – szkołę średnią. Uczył w niej przydatnych w życiu państwowym umiejętności, wykorzystując sztukę wymowy (retorykę), lecz w wysoce wymagający i sokratejski sposób (sam był uczniem Sokratesa). O konieczności uszlachetnienia demokracji pomyśli także Arystoteles.

„Tylko serio, na Zeusa, obywatele..." [30]

Sokrates nie mógł wybaczyć sofistom przyjmowania pieniędzy, bo skoro kupczyli mądrością, to widać nie kochali jej wystarczająco mocno, by zasłużyć na miano filozofów (gr. *philosophos* oznacza miłośników mądrości). Sam wierzył głęboko w prawdę i całe życie poświęcił sprowadzaniu jej na świat. Słynną sokratejską metodą zadawania pytań, którą porównywał do majeutyki, czyli sztuki położniczej. Jak położna asystuje przy narodzinach dziecka, tak filozof ma towarzyszyć zgłębiającemu jakiś problem człowiekowi i ułatwić mu dotarcie

[30] W ten sposób rozpoczyna swą obronę przed sądem Sokrates w dialogu Platona; zob. Platon, *Obrona Sokratesa*, [w:] tenże, *Dialogi*, t. 1, tłum. W. Witwicki, Kęty 1999, s. 553.

do prawdy. Niestety, dla zwykłych zjadaczy chleba, którymi na ogół jesteśmy, entuzjazm Sokratesa w tym względzie mógł być krępujący. A sam Sokrates mógł wydawać się równie, a może nawet bardziej, denerwujący niż sofiści. Żeby się o tym przekonać, wystarczy rozejrzeć się wokół. Pośród naszych znajomych i przyjaciół nie brakuje bowiem ani sofistów, ani Sokratesów. Zwróćmy się do nich z konkretnym problemem do rozwiązania. Niech to będzie sprawa osobista i wielkiej wagi.

O SPRAWIE PRZY KAWIE

Mam kłopot. Czuję od pewnego czasu, że mój dotąd najukochańszy Misio zrobił się, nie wiedzieć kiedy, znacznie mniej najukochańszy. Ba, czasem mam wrażenie, że już przestał być nawet ukochany, i coraz częściej świta mi w głowie myśl, że lepiej byłoby mi bez Misia. A że trudno się pozbyć takiej „świtającej" myśli, zwłaszcza że szybko dołącza do niej cała masa kolejnych, jest mi coraz gorzej i gorzej. Zostać z Misiem? Zostawić Misia? Sama już nie wiem. Potrzebuję wsparcia.

Dzwonię do mojego przyjaciela – sofisty Dżordżiego (zdrobnienie od Gorgiasza). Umawiamy się w ulubionej knajpce. Dżordżi od razu potrafi wyczuć moje zdenerwowanie:

– Coś się stało? – pyta z troską, równocześnie podsuwając mi swoją saszetkę cukru. Wie, że słodzę trzy miarki.

Spuszczam oczy i z zapałem mieszam kawę, bo nie bardzo wiem, jak zacząć. Ale kiedy nawet osoby siedzące przy sąsiednim stoliku są już pewne, że mój cukier się rozpuścił i nie powinnam dłużej dzwonić łyżeczką o filiżankę, zaczynam:

– Wiesz, mam chyba dosyć mojego Michała. Ciągle mnie kontroluje... Pamiętasz, jak na imprezie u Jolki nie pozwolił mi wypić nawet jednego drinka? I to na oczach wszystkich się wykłócał! Zawsze mnie krytykuje... kwiatów nie przynosi... szklanki po sobie nie umyje... potrafi przyjść do łóżka w dziurawych skarpetkach, a jak tylko zadzwoni ta jego niby nowa szefowa, to leci do niej jak na skrzydłach...

Urywam. Muszę zaczerpnąć powietrza, może nawet wydmuchać nos. Zresztą najwyższy chyba czas, by mój towarzysz zdobył się na jakąś reakcję. Dżordżi mnie nie zawodzi:

– Chyba wiem, o co ci chodzi – wzdycha.

Trochę mi ulżyło. Nie czuję się już taka sama z moim problemem. Dodaję więc to i owo, z lubością słuchając, jak mój przyjaciel w lot chwyta moje zastrzeżenia.
– Może mu się wydaje – mówi – że jak cię zdobył, to się już nie musi starać. Faceci tak mają. Na początku są romantyczni, a jak się hormony trochę uspokoją, wracają do normalnego stanu. Dobrze, że odkryłaś to teraz, póki nie jest za późno. Dziś cię sprawdza, z kim wychodzisz, a po ślubie ani się obejrzysz, a on ci kartę kredytową zablokuje. Nie myje szklanki, bo pewnie oczekuje, że będziesz jego służącą.
Kiwam głową. O! To-to-to! No właśnie! No właśnie tego się boję. A Dżordżi ciągnie:
– I wiesz, jak on jest na każde zawołanie szefowej, to mu asertywności brakuje. Albo chce się przypodobać. A to nawet gorzej. Bo dzisiaj szefowej, a jutro... kto wie. Przyjdzie na niego kryzys wieku średniego i za dwudziestolatkami zacznie się oglądać, żeby nie myśleć o rosnącej łysinie. Zresztą... ty wiesz, że ten twój Michał chyba już zaczął łysieć. Ile on właściwie ma lat?
Zaraz... Chwileczkę! Moja głowa, która do tej pory potakiwała, zastyga w miejscu. Tak bezceremonialnie przechodzić od szefowej do łysiny? Łysiny MOJEGO Misia?
– Ja zawsze wolałam starszych mężczyzn – przerywam i przyglądam się Dżordżiemu badawczo. – A poza tym, te zakola dodają mu powagi. Nie sądzisz?
– Oj, żartowałem – uśmiecha się Dżordżi, klepiąc mnie przyjaźnie po plecach. Chwilowy zgrzyt udało się zażegnać. Trochę jednak zrobiło mi się głupio, że tak bez skrupułów obgadujemy mojego Misia. Taki zły to on znowu nie jest... Gdyby był, to nie byłoby mi żal odchodzić.
Tak się niefortunnie składa, że prawdziwe problemy lubią mieć dwie strony. I chyba właśnie przyplątała się do moich myśli ta druga. Mówię więc z namysłem:
– Sama nie wiem... Może jestem przewrażliwiona? W końcu na urodziny zafundował nam weekend w spa i nawet pozwolił sobie zrobić manicure, żeby spędzić ze mną więcej czasu. A wczoraj na śniadanie przygotował taką pyszną jajecznicę. To może mu jednak trochę na mnie zależy? – pytam trochę siebie, a trochę towarzysza.
– Manicure... no no, nie każdy by się zdecydował... A Michał to chyba w ogóle dobrze gotuje? Pamiętam, jak kiedyś zaprosiliście mnie na kolację. Ta jego zapiekanka była super! – zachwyca się Dżordżi szczerze. I dodaje zatroskany: – Może rzeczywiście poczekaj. Porozmawiajcie. Nie ma sensu podejmować pochopnych decyzji.

(...) itd., itp. Faktyczna rozmowa trwałaby znacznie dłużej – również dlatego, że zawsze zamawiam największą kawę. Zaraz po takim spotkaniu jest mi zdecydowanie lepiej. Czuję się w pełni zrozumiana i wiem, że Dżordżi jest po mojej stronie. Zawsze po mojej stronie. I dopiero w domu uświadamiam sobie drobny szkopuł – otóż ja sama nie wiem nadal, która to strona... Mój problem pozostał, a może nawet uległ zaostrzeniu, gdyż wzbogacił się o kilka nowych argumentów. Argumentów za i przeciw rozstaniu.
W takim stanie tej nocy nie prześpię (Misio jest w delegacji). Pora dzwonić po Sokratesa – mojego drogiego przyjaciela Kratka (Sokratuńcio, jak pewnie nazywała go Ksantypa, to imię zbyt długie jak na nowoczesne standardy). Umawiamy się w tej samej kawiarni. Ale że ciśnienie już mam wysokie, tym razem zamawiam koktajl. Ku aprobacie Kratka, który już nie raz wypominał mi nadmierną skłonność do używek.
I zaczynam:
– Wiesz, mam chyba dosyć mojego Michała. Ciągle mnie kontroluje, krytykuje...
Spoglądam na Sokratesa. Znamy się nie od dziś, więc wiem, że nie warto od razu mówić za dużo, bo to bywa w tym przypadku ryzykowne. Nie mylę się. Oj, nie.
– Tak jak wtedy na imprezie u Jolki? – pyta z lekkim rozbawieniem.
– No właśnie, albo...
– Ale pamiętasz – Kratek nie pozwala mi dokończyć – że chciałaś tańczyć na stole, twierdząc, że jesteś nowym wcieleniem Grace Kelly?
No dobrze, nie jestem z tego dumna. Może przykład nie był najwłaściwszy.
– ... i kwiatów nie przynosi...
– A to takie ważne, żeby przynosił? – Kratek kiwa głową ze zrozumieniem... Hm, czy na pewno ze zrozumieniem? Niepokoją mnie te dziwne iskierki w jego oczach.
Właściwie nigdy nie zastanawiałam się nad kwiatami głębiej, ale przecież Michał dawniej je przynosił. Przez następną chwilę rozważamy z Kratkiem wpływ nieprzynoszonych kwiatów na jakość związku, a kiedy zaczynam niebezpiecznie zbliżać się do uznania, że może jednak kwiaty nie są sprawą kluczową, postanawiam zmienić temat:
– Widzisz, ale jak ta jego szefowa dzwoni, to dla niej ma czas. A ja się już miesiąc nie mogę doprosić, żeby mnie zabrał do kina.
– O coś go podejrzewasz?
Żeby tak od razu podejrzewać, to może nie. Chociaż... gdyby tak się zastanowić, może ona zagięła na niego parol. Te SMS-y na przykład... Czuję, że robi mi się gorąco. Wieszam żakiet na krześle i powoli wyjaśniam swoje obawy.

Kratek pomaga, jak może, i jestem mu wdzięczna, że wreszcie mogę lepiej zrozumieć moje pretensje. Dotąd nie miałam punktu zaczepienia w swoich rozterkach i w myślach to broniłam Misia, to znów obrzucałam go wyzwiskami. Teraz nie tylko czuję jakieś emocje, ale zaczynam je rozumieć. Przyczyny niektórych bledną, za to innych nabierają kształtu. I wszystko byłoby cudownie, gdyby to nie było takie trudne. A już najtrudniejsza do zniesienia jest bezpośredniość Kratka. Te jego dosadne przykłady. I ta ironia, z jaką odnosi się do mojego problemu, jakby był on tylko dobrym pretekstem do intelektualnych ćwiczeń. Czuję się coraz bardziej nieswojo. Nie wiem: jestem zła na Michała, zła na siebie, że nie umiem sobie radzić z tak banalnym problemem – no banalnym, bo jak się okazuje, bardzo typowym i powszechnym! – czy może zła na Kratka... Po kilku kolejnych słusznych pytaniach z jego strony i moich niepozbieranych odpowiedziach już wiem – tak, to Kratek działa mi na nerwy. Koktajl skończył się nie wiedzieć kiedy, a my wałkujemy dopiero problem szefowej. Mam dość:
– No dobrze, kochany, a co ty byś zrobił na moim miejscu? – pytam z rezygnacją.
– Ja? – dziwi się mój rozmówca. – A ja to nie wiem... Już taki to głupiutki jestem. Z pewnością Ty wiesz lepiej, co powinnaś zrobić.
Gdybym wiedziała, myślę sobie w głębi duszy, to nie zamawiałabym koktajlu truskawkowego po kawie, bo to nie najlepiej działa na mój żołądek. Wracając do domu, mam niejasne wrażenie, że z jednej strony wiem więcej, co mnie trochę uspokaja, ale z drugiej strony to, co najważniejsze, ciągle wydaje się poza moim zasięgiem. Zostawić Misia? Czy go nie zostawić?
Cóż, jak to zwykle w życiu bywa – z prawdziwymi problemami zostajemy sami...

Jeśli „prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie", to opisana w ramce sytuacja nie nastraja optymistycznie. Na pierwszy rzut oka może się wydawać, że zawiodłam się tak na Gorgiaszu, jak i na Sokratesie. Ale czy na pewno? Czy też może przyjęłam niewłaściwe kryteria oceny tego, co należy uznać za pomoc? Pierwszy warunek udanej przyjaźni: wiedzieć, czego po danym przyjacielu można się spodziewać, a co przerasta jego możliwości.

Sofista pracuje na relacjach. Wie, że z prawdą bywa różnie – niby wszyscy o niej słyszeli, ale mało kto widział, a już zupełnie nikt dotąd nie wrzucił jej zdjęcia „na Fejsa", by udowodnić, że istnieje. Dlatego

nie należy marnować czasu na przedsięwzięcia z góry skazane na porażkę. Zamiast zakładać, że uda nam się jednoznacznie rozważyć wszelkie argumenty i znaleźć jedną (i jedyną właściwą) odpowiedź na pytanie, czy należy zostawić Misia, lepiej skoncentrować się na wzmocnieniu więzi między nami. Dlatego Dżordżi robi wszystko, byśmy poczuli się dzięki niemu lepiej, dostrzegli jego wsparcie i sympatię, a takie pozytywne uczucia mogą kiedyś zaprocentować. Tym, których lubimy i którzy lubią nas, trudniej odmówić – pomocy, pożyczki czy poparcia. Wbrew obiegowej opinii to wcale nie znaczy, że celem sofisty jest zwykła manipulacja i wykorzystanie naszej bezradności do własnych celów. Wówczas to nie sofista, ale oszust... których oczywiście także wśród sofistów nie brakuje, bo taka to już jest przypadłość rodzaju ludzkiego, że wszelkie umiejętności potrafimy wykorzystywać na dwa sposoby: dobrze i źle. Sofista „dobry" chce być pomocny i ułatwić nam rozwiązanie problemu. Tyle tylko, że jego zdaniem możliwych rozwiązań jest wiele, a każde z nich może okazać się najlepsze z uwagi na inne kryterium. I właśnie te inne kryteria musimy brać pod uwagę, skoro nie da się zmierzyć wszystkich rozwiązań tą samą miarą „prawdziwości". Może to być na przykład czas: bo po co się zadręczać w nieskończoność? Albo też straty: trudniej się rozstać, jeśli z Misiem łączy nas wspólny kredyt. Rozmowa z sofistą, zwiększając liczbę argumentów za i przeciw, uświadamia jednocześnie zmienność naszych kryteriów oceny sytuacji i zwiększa chaos naszego myślenia, ale paradoksalnie w wielu przypadkach właśnie poczucie całkowitej dezorientacji przyspiesza decyzję – każda decyzja wydaje się bowiem lepsza niż doskwierające podejrzenie, że nasz problem zaczyna się rozmnażać przez pączkowanie. Oczywiście istnieje niebezpieczeństwo, że ta decyzja będzie właściwie decyzją sofisty, który z pewnością w rozmowie kładł nacisk na argumenty ważne dla niego. Jeśli jednak nie był oszustem, trudno czynić mu z tego zarzut. To my wybieramy sobie przyjaciół! Istnieje szansa, że przyjaciel sofista pragnie naszego dobra i zna nas na tyle, że jego podpowiedzi rzeczywiście temu dobru posłużą.

Sokrates to przyjaciel z gruntu odmienny. Wie, że skoro problem się pojawił i nas dręczy, to należy z pełną determinacją przystąpić do

poszukiwania jego rozwiązania. Nie byle jak, ale systematycznie, co nie znaczy śmiertelnie poważnie. Dlatego Sokrates wręcz popisuje się umiejętnością zadawania pytań, które a to wydają się trywialne, a to niby przytakują rozmówcy, a to tryskają zamaskowaną ironią (nawet zwaną „sokratejską"). Rozmowa z Sokratesem jest stresująca, ponieważ jego pytania mają drażnić nasze wnętrzności, by wywołać „bóle porodowe" niezbędne do narodzin prawdy – WŁAŚCIWEGO rozwiązania naszego problemu. Nas to doświadczenie boli, a Sokrates pozwala sobie na zachowanie dystansu i niewczesne żarty, by rozładować atmosferę – porównuje się do bąka czy gza, który kąsa ociężałego konia... Całe jego przedsięwzięcie jest jednak wysoce ryzykowne. Otóż możliwe, że na bólach porodowych się skończy i prawda nie ujrzy światła dziennego. Wówczas przeprowadzana z takim wysiłkiem operacja pozostawia po sobie nieprzyjemne uczucie porażki i wewnętrznej pustki, kwestionujące nasze zdolności do radzenia sobie z problemami. Pozostaje mieć nadzieję, że uparte dążenie do prawdy zaowocuje przemyślaną decyzją, która okaże się niewzruszona choćby dlatego, że droga do jej podjęcia nie była usłana różami.

Można zrozumieć negatywne emocje, jakie wzbudzał Sokrates u wielu swych współobywateli[31]. Biegał po rynku i zaczepiał ludzi. Wołał na przykład: „[Taki a taki ty][32] piękny i mądry – jakże cię dawno nie było u nas w Atenach!". I jak tu nie zatrzymać się na takie pozdrowienie? A potem było równie sympatycznie. Sokrates nie był najprawdopodobniej wysokiego wzrostu (choć siły mu nie brakowało), więc patrzył w górę, w oczy rozmówcy, i mówił coś w rodzaju:

> Więc bądźże łaskaw i racz uleczyć duszę moją. Znacznie większe mi wyrządzisz dobrodziejstwo, usuwając niewiedzę z duszy, niż gdybyś ciału chorobę

---

[31] Wszyscy Sokratesa znali. Stał się nawet bohaterem uszczypliwej komedii Arystofanesa pod tytułem *Chmury*. W innej sztuce – *Ptaki* – Arystofanes ukuł nawet czasownik „sokratesować" – oznaczający kogoś, kto bardziej od Aten kocha Spartę, przez co chodzi niemyty, z długimi włosami i patykiem w ręce. I dużo mówi.

[32] W tym konkretnym cytacie adresatem pochwał był Hippiasz, a relację ze spotkania przekazał nam Platon; zob. Platon, *Hippiasz Większy*, [w:] tenże, *Dialogi*, t. 1, dz. cyt.

odbierał. Ale jeśli długą mowę chcesz powiedzieć, to zapewniam cię, że mnie tym nie wyleczysz – nie potrafię nadążyć – ale tak, jak teraz, jeśli zechcesz mi odpowiadać, wielką mi zrobisz przysługę[33].

I pytał Sokrates. I pytał. Od czasu do czasu wtrącając: „Ajajaj, a czy mógłbyś mi zrobić tę łaskę i nie śmiać się ze mnie, kiedy z trudnością pojmuję to, co się mówi, i często się pytam na nowo? Spróbuj mi może łagodnie i uprzejmie odpowiadać". Biedny delikwent dwoił się i troił, by pouczyć Sokratesa. Tyle tylko, że cokolwiek by powiedział, filozof mniej lub bardziej żartobliwie rozbijał jego rozumowanie. Kiedy zapytany o to, czym jest dzielność, Menon chwalił się, że na to „nietrudno odpowiedzieć", a następnie wymienił jednym tchem wiele przykładów dzielności, będący w dobrym nastroju Sokrates skomentował[34]:

– Wiesz, Menonie, mnie bodaj że wielkie szczęście spotkało; jednej tylko szukałem dzielności, a tu ich cały rój koło ciebie znajduję. A [...] gdybym ja ciebie pytał o istotę pszczoły, czym ona jest, a ty byś mi powiedział, że jest ich dużo i są rozmaite, co byś mi wtedy odpowiedział na pytanie: czy ty powiadasz, że one są liczne i rozmaite i tym się od siebie różnią, tym właśnie, że są pszczołami, czy też tym właśnie one wcale się nie różnią?

A Menon na to:

– Ja bym odpowiedział, że tym się wcale nie różnią jedna od drugiej, że są pszczołami.

Sokrates z aprobatą:

– No, a gdybym potem powiedział: To właśnie mi podaj, Menonie, czym one się wcale nie różnią, tylko są przez to jednym i tym samym. Czym jest to właśnie, powiedz! Umiałbyś mi chyba odpowiedzieć?

---

[33] Platon, *Hippiasz Mniejszy*, [w:] tenże, *Dialogi*, t. 1, dz. cyt., s. 144.
[34] Platon, *Menon*, [w:] tenże, *Dialogi*, t. 1, dz. cyt., s. 461–462.

Następujące tutaj „tak" Menona to woda na młyn Sokratesa:

> – Tak samo ma się rzecz i z różnymi rodzajami dzielności, chociaż ich jest wiele i są różnorodne [...]. Pięknie by więc było, żeby zapytany przyjrzał się temu i wyjaśnił pytającemu, czym właśnie jest dzielność. Czy też nie rozumiesz, co mam na myśli?

Menon rozumie. Rozumie, ale zaczyna się mieszać w zeznaniach. Nie on jeden. Wystarczy sięgnąć po *Dialogi* Platona i uśmiech sam ciśnie się na usta. Choć z pewnością rozmówcom nie zawsze było do śmiechu. Rozpoczynali rozmowę z zamiarem pouczenia Sokratesa, po chwili jednak się okazywało, że sami niewiele wiedzą. Nie potrafią uzasadnić swych poglądów politycznych, a chwytając uzasadnienia podsunięte przez filozofa, niebezpiecznie zbliżają się do granic absurdu. Kiedy wreszcie, w akcie desperacji, uznają własne niedouczenie i szukając ostatniej deski ratunku, próbują odbić piłeczkę – no dobrze, Sokratesie, udowodniłeś, że nie wiem, więc powiedz mi ty, a od jutra będę lepszym obywatelem i lepiej będę służył naszej *polis* – Sokrates odpowiada nonszalancko, mniej więcej w stylu: Ja? A nie, ja nie. Ja przecież też nie wiem. Nic nie wiem. Dobrze, że choć to wiem, że nie wiem.

Nietrudno sobie wyobrazić, że w tym momencie niektórym przepytywanym świtała w głowie coraz bardziej uporczywa myśl: „Pozbyć się Sokratesa. Pozbyć się za wszelką cenę". A głośno mówili, jak Eutyfron: „Teraz się dokądciś śpieszę i czas mi już iść"[35].

Proces Sokratesa stał się jednym z głośniejszych procesów w historii. Postawa filozofa – spójna, konsekwentna i nierezygnująca z twardej ironii do końca – udowodniła, że przez całe życie grał o tę samą – wysoką – stawkę[36]. Wierzył w prawdę i umarł dla niej, bo jak wyjaśniał nakłaniającemu go do ucieczki przyjacielowi:

---

[35] Platon, *Eutyfron*, [w:] tenże, *Dialogi*, t. 1, dz. cyt., s. 537.

[36] I dzisiaj relacje z procesu i ostatnich dni życia Sokratesa przemawiają z ogromną siłą. Sokrates dostrzega paranoiczność oskarżeń i tragizm własnej sytuacji. Ale do końca pozostaje Sokratesem; zob. Ksenofont, *Obrona Sokratesa*, [w:] tenże, *Pisma sokratyczne*, tłum. L. Joachimowicz, Warszawa 1967; Platon, *Dialogi*, t. 1, dz. cyt. (zob. *Obrona Sokratesa, Kriton*).

> Kochany Kritonie. Bardzo cenne twoje chęci, gdyby tylko w nich była pewna poprawność. A jeśli nie, to im są gorętsze, tym przykrzejsze. [...] Ja już taki jestem; nie tylko teraz, ale zawsze taki, nie umiem nikogo i niczego innego z moich słuchać, jak tylko argumentu, który mi się po rozwadze wyda najlepszy. A tych argumentów, które przedtem przytaczałem, nie umiem teraz wyrzucić za drzwi, kiedy mnie dzisiejszy los spotkał, ale coś mi się wydają zupełnie takie same i te same szanuję i czczę, co i przedtem[37].

Platon

Sokrates zostawił po sobie co najmniej kilku młodych zapaleńców, którym namieszał w głowach i którzy po jego śmierci byli zdeterminowani, by kontynuować jego dzieło. Najwybitniejszym z nich był Aristokles, znany lepiej pod imieniem Platona – ponoć z uwagi na szerokie plecy. Platon miał kilka ważnych powodów, by nie lubić demokracji. Poszukiwanie prawdy wydawało mu się zajęciem dużo bardziej godnym wybitnego umysłu i dostarczającym niepowtarzalnych wzruszeń. Pozbawiony mistrza, wziął się samodzielnie do roboty. Wiedział już, że niebezpiecznie o prawdę pytać, więc rozpoczął od przyglądania się światu. Znał dobrze Ateny, ale prawdy tam nie znalazł. Postanowił w pogoni za nią udać się dalej. Znacznie dalej. Jednak gdziekolwiek się znalazł – Egipt, Sycylia – tam prawdy nie było. Każdy przeciętny człowiek wyciągnąłby stąd logiczny wniosek: dajmy sobie spokój, widać prawdy nie ma i szukać jej nie warto. Ale nie Platon. Platon wysnuł wniosek dużo bardziej interesujący: prawda istnieje i wątpić o tym niepodobna, choćby dlatego, że Sokrates oddał za nią życie! Skoro więc nie sposób natrafić na jej ślad w tym świecie, to musi istnieć jakiś inny świat, gdzie prawda ma swoje mieszkanie. Czyż krok w tę stronę nie otwiera przed myśleniem dużo bardziej atrakcyjnej perspektywy? Ot, choćby podejrzenie, że świat, w którym prawda nie mieszka, czyli nasza materialna rzeczywistość, jest z konieczności NIEPRAWDZIWY, czyli w sensie ontologicznym

[37] Platon, *Kriton*, [w:] tenże, *Dialogi*, t. 1, dz. cyt., s. 597.